



RUDYARD KIPLING

ANKUS KRÓLEWSKI

Z. H. P.

Oddział Lwowski

Chorągiew Męska

2. DRUŻ. HARCERSKA P. O. TRĄGUT

we Lwowie



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

Z. H. P.

Oddział Lwowski

~~Chorągiew Miejska~~

2. DRUŻ. WARSZAWSKA ED. H. TRAGUTTA

we Lwowie

L

Ankus królewski ¹⁾.

Tych oto czworga nie nie nasyci — o czem wia-
[domo od wieka:
Paszczy Dżakali, Sępa gardzieli, łap małpich i oczu
[człowieka.

Przystawie puszczy.

Kaa, olbrzymi pyton ²⁾ skalny, zmienił skórę po dwóchsetny chyba raz od chwili urodzenia, i Mowgli ³⁾, nie zapominając nigdy o tem — co i wam zapewne nie wyszło z pamięci — że pewnej nocy w Zimnych Grotach Kaa ocalił mu życie, przybył złożyć mu powinszowanie. Każda bowiem zmiana skóry wywołuje w wężu przygnębienie i smutek, trwający dotąd, póki nowa szata nie nabierze blasku i okazałości poprzedniej.

¹⁾ Aby zrozumieć charakter występujących tu osobistości, przeczytaj: »Bracia Mowgli'ego«. ²⁾ Pyton — wąż olbrzymi dusiciel, niejadowity. ³⁾ Mowgli — żabka, imię nadane człowiekowi, wychowanemu w puszczy przez dzikie zwierzęta.

Obecnie Kaa nie pozwalał już sobie żartów z Mowglim, którego wespół z innymi ludami puszczy za pana jej uważał, lecz dzielił się z nim wszelkimi wiadomościami, jakie do pytona podobnej miary dochodzić mogły. Niewątpliwie zaś na najdrobniejszej z jego łusek byłoby można wygodnie spisać to wszystko, co by się przed Kaa ukryć zdołało z życia tak zwanej Średniej Puszczy, to jest z życia, wrzącego tuż przy ziemi lub pod nią, wśród głązów, w norach, albo pomiędzy korzeniami drzew.

Otóż owego popołudnia Mowgli siedział pośrodku wielkich pierścieni Kaa i trzymał w palcach zmiętą i potarganą starą skórę, którą Kaa pomiędzy głązami porzucił. Pyton z całą uprzejmością wsunął się pod szerokie, nagie ramiona chłopca, który tym sposobem spoczywał jakby w fotelu z żywymi poręczami.

— Zupełnie to samo, nie wyłączając nawet łusek ocznych — mówił do siebie Mowgli, bawiąc się starą skórą. — Jakie to dziwne, tak widzieć u swych nóg powłokę własnej głowy.

— Ba! toć ja nie mam nóg — odparł Kaa — że zaś zwyczajna to rzecz w całym naszym rodzie, więc dla mnie nic w tem dziwnego niema. Czyż ty sam nigdy nie czujesz, że skóra na tobie czyni się stara i chropowata?

— Owszem, ale wtedy myję się, o Płaskogłowy. Zresztą, prawda, iż podczas wielkich upałów nie miałbym nic przeciwko temu, żebym mógł zdjąć z siebie skórę bez bólu i biegać sobie bez niej.

— Ja także się myję, ale oprócz tego zmieniam skórę. Jakże ci się mój nowy strój podoba?

— Żółw ma twardszą skórę, lecz nie tak miłą dla oka — zawyrokował Mowgli, głaszcząc ręką pokratkowany ukośnie grzbiet olbrzyma. — Imienniczka moja, żaba, ma jaśniejszą może, ale nie tak twardą. Ślicznie to wygląda, niby centki pstre w lilji kielichu.

— Jeszcze jej wody trzeba. Każda nowa skóra dopiero po kąpeli nabiera właściwego połysku. Chodźmy się wykąpać.

— Poczekaj, zaniosę cię — rzecze Mowgli.

I ze śmiechem nachylił się, udając, że chce dźwignąć olbrzymie cielsko Kaa pośrodku, właśnie w miejscu najszerszego obwodu. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś usiłował podnieść rurę wodociągową o dwułokciowej średnicy. Kaa leżał nieruchomie, sapiąc spokojnie z zadowolenia. Wkrótce rozpoczęli zwykłą grę wieczorną: chłopiec w kwiecie sił młodzieńczych i pyton w przepysznej nowiu-tenkiej szacie stanęli do zapasów, idąc o lepsze w zwinności i mocy. Oczywiście Kaa potrafiłby, gdyby zechciał, zmiażdżyć dziesięciu Mowglic, to też starał się walczyć oględnie, rozwijając zaledwie drobną część swej potęgi. Zaledwie Mowgli zmęźniał o tyle, że mógł znieść dość szorstkie jego dotknięcia, Kaa nauczył go tej zabawy, która jak żadna inna wyrabiała mu giętkość członków. Nie-raz chłopiec stał omotany aż po szyję w ruchliwe kłęby gadu i mocował się, by wyswobodzić jedną rękę i chwycić Kaa za gardło. To znowu Kaa rozciągał się miękko, a Mowgli szybkimi rzutami

obu nóg próbował osłabić ruchy olbrzymiego ogona, który wywijał się w tyle, szukając omackiem punktu oparcia w jakim głazie lub pniaku. To wreszcie chwiali się w tę i ową stronę, wlepiwszy oko w oko i wyczekując chwili odpowiedniej do rzutu, aż piękna, posągowa grupa przechodziła nagle w wir białych i żółtych splotów i migocących wśród nich rąk i nóg, poczem stawała znowu, by się znowu powikłać za chwilę.

— Masz! masz! masz! — mówił Kaa, zadając łbem pchnięcia, których nawet zwinne ręce Mowgliego odparować nie mogły. — Patrz, braciszku, teraz tutaj cię trafiam, a teraz tu, i tu! Zdrętwiały ci ręce, czy co? Teraz tu znowu!

I zawsze kończyła się ta gra w sposób jednokowy: silnem, prostem uderzeniem głowy pytona podrzucony w górę, chłopiec wywijał parę koziolków w powietrzu. Nigdy nie udawało się Mowgliemu ustrzedz się przed tym błyskawicznym ciosem, a Kaa utrzymywał, że niema co próbować nawet.

— Powodzenia w łowach! — chrząknął wreszcie Kaa i Mowgli, jak zazwyczaj, odleciał na kilkanaście łokci w bok. Zadyszany i rozbawiony, podniósł się z pełnemi garściami trawy i podążył za Kaa do ulubionego miejsca kąpieli mądrego pytona: było to głębokie, czarne jak smoła jezioro, ukryte wśród skalistych brzegów i zavalone pograżonemi pniami drzew. Na sposób mieszkańców puszczy chłopiec wśliznął się doń bez szelestu, dał nurka, równie cicho wypłynął na powierzchnię u przeciwnego brzegu, gdzie przewróciwszy się na

grzbiet, z założonemi na głowę rękoma spoglądał na wschodzący z poza skał księżyc, mącąc piętami odbicie jego światła w wodzie. Jak djament wielograniasta głowa pytona nakształt brzytwy przecinała powierzchnię jeziora, a dopłynąwszy do chłopca, wsparła się na jego ramieniu. I długo tak leżeli bez ruchu, z lubością pogrążeni w chłodnej wodzie.

— Jak tu dobrze — ozwał się wreszcie Mowgli rozmarzonym głosem. — A w gromadzie człowieczej o tej porze, o ile sobie przypominam, ludzie rozciągają się na twardych kawałkach drewna w pewnego rodzaju pułapkach, a pozamykawszy się skrzętnie przed najłżejszym przewiewem czyśtego powietrza, naciągają brudne płachty na ociężałe głowy i wstrętne nucą przez nos. O ileż lepiej tu w puszczy!

Jakiś ogromnie zajęty okularnik zsunął się w tej chwili ze skały, popił skwapliwie wody, pozdrowił ich zwykłym: »Powodzenia w łowach!« i zniknął.

— Sss — rzekł Kaa na znak, że sobie nagle o czemś przypomniał. — Zatem puszcza daje ci wszystko, czego tylko zapragnąć możesz, braciszku?

— Niezupełnie — ze śmiechem odparł Mowgli — bo w takim razie musiałby mi się trafiać podczas każdego księżyca nowy a silny Shere-Han¹⁾ do zabicia. Teraz mógłbym sobie własnymi rękoma poradzić, nie przywołując na pomoc ba-

¹⁾ Imię tygrysa.

wołów. Dalej pragnąłbym, żeby słońce błyszczało wśród dżdżu, i żeby deszcze zasłaniały słońce podczas upału; wreszcie nie zdarzyło mi się nigdy wstać naczczo, żebym sobie nie życzył upolować sarny, a gdy ubiję sarnę, to wołałbym kozła, jeżeli zaś kozieł mi się trafi, żałuję, że to nie nilghai. Ale to ponoć wszyscy doznajemy uczuć podobnych.

— Więc żadnych innych nie miewasz pragnień? — zapytał wielki wąż.

— Czegóż miałbym pożądać jeszcze? Posiadam puszcę i łaskę puszczy. Jestże coś więcej pomiędzy wschodem a zachodem słońca?

— A jednak mówił mi okularnik... — zaczął Kaa.

— Który? Ten, co tu przychodził, nie mówił nic, gdyż był zajęty polowaniem.

— To był inny.

— Więc ty utrzymujesz stosunki z ludem Jadowitych? Ja bo nie wchodzę im w drogę. Noszą śmierć w przednich zębach, co nie jest słuszne, ponieważ są tacy mali. Więc z jakimże to Kapturem rozmawiałeś?

Kołysząc się zwolna w wodzie, jak statek na bocznym prądzie, Kaa odpowiedział:

— Temu trzy lub cztery miesiące polowałem w Zimnych Grotach, miejscowości, której być może jeszcze nie zapomniałeś. Otóż ścigana przeze mnie zwierzyna uciekła z krzykiem przez rezerwoary do tego budynku, którego ściany rozwalilem niegdyś w twojej sprawie, i znikła pod ziemią.

— Przecie lud z Zimnych Grot nie mieszka w norach — przerwał Mowgli, domyślając się, że Kaa mówi o narodzie małp.

— Owa istota też nie mieszkała, ale szukała sobie mieszkania — odparł Kaa z lekkim drganiem języka. — Wpadła więc do nory, która wiodła bardzo daleko. Pomknąłem za nią, a zabiwszy, zasnąłem. Po przebudzeniu powędrowałem dalej.

— Pod ziemią?

— Właśnie. Spotkałem tam wreszcie Biały Kaptur (białego okularnika), który rozmawiał ze mną o rzeczach dla mnie niepojętych i pokazywał mi mnóstwo rzeczy, jakich nigdy jeszcze nie widziałem.

— Jakaś nieznaną zwierzynę? Pewnie dobre było polowanie? — pytał Mowgli, zwracając się żwawo w jego stronę.

— Nie była to zwierzyna; wszystkie zęby można było na tem połamać, a jednak Biały Kaptur, który napozór zna się doskonale na ludzkim gatunku, utrzymywał, że człowiek oddałby gorącą krew ze swych żył za samo tylko zobaczenie tego.

— Więc i my chodźmy to zobaczyć — rzecze Mowgli. — Przypomniało mi się w tej chwili, że byłem niegdyś człowiekiem.

— Zwolna, zwolna. Zbytni pośpiech zgubił Żółtego Węża, który chciał zjeść słońce. Rozmawialiśmy zatem w podziemiu, i ja zrobiłem wzmiankę o tobie, mówiąc, że jesteś człowiekiem. Na to Biały Kaptur, który w samej rzeczy stary

jest jak puszcza sama, rzekł do mnie: »Dawno już nie widziałem człowieka. Niech przyjdzie tutaj, a ujrzy wszystkie te rzeczy, z których najmniejszą każdy człowiek gotów jest okupić życiem«.

— To nie może być nic innego, jeno jakaś nowa zwierzyna. Tylko że Jadowici nie mają zwyczaju zawiadamiać nas o zwierzynie. To lud nieużyty.

— Nie zwierzyna, powtarzam. Jest to... jest to... nie umiem ci powiedzieć, co to jest.

— Chodźmy tedy. Nie widziałem nigdy Białego Kaptura, a i te osobliwości mam chęć zobaczyć. Czy on je pozabijał?

— Wszystko to jest martwe. On zaś twierdzi, że jest nad tem strażnikiem.

— Aha! To jak wilk, co strzeże mięsa, które sobie przyniósł do jamy. Ruszajmy!

Mowgli popłynął do brzegu, wytarzał się w trawie, poczem wyruszyli obaj w drogę ku Zimnym Grotom, czyli znanym nam już zwaliskom miasta. Obecnie Mowgli nic sobie już nie robił z ludu małą; przeciwnie, one przejęte były najwyższą trwogą względem Mowgliego. Lecz w tej chwili rody ich rozbiegły się właśnie po puszczy i w oświetlonych księżycem Zimnych Grotach było pusto i cicho. Kaa sunął przodem do stojących na tarasie ruin pawilonu królowych i wśliznąwszy się pomiędzy gruzy, sczołgał się w dół po nawpół zasypanych schodach, wiodących z wnętrza pawilonu do podziemia. Wydawszy w języku węzów okrzyk: »Jestem jednej krwi z wami!«, Mowgli

na czworakach podążył za swym przewodnikiem. Długo pełzli tak przejściem spadzistem, z mnóstwem zakrętów i zwrotów, aż wreszcie dostali się do miejsca, w którym leżał olbrzymi głaz, wyważony z muru korzeniami jakiegoś wielkiego drzewa, rosnącego o trzydzieści stóp wyżej na powierzchni ziemi. Wsunąwszy się przez ten wyłom, ujrzeli obszerny loch o wypukłym sklepieniu, również rozłupywanym korzeniami drzew, tak, iż przedostające się przez szczeliny wąskie smugi światła rozpraszały w nim ciemności.

— Bezpieczne legowisko — rzekł Mowgli, stając na nogi, szkoda, że zbyt dalekie, by je odwiedzać codziennie. Ale co tu może być do zobaczenia?

— Więc ja się za nic nie liczę? — zabrzmiał głos jakiś z głębi lochu. Coś białego poczęło się tam poruszać i po chwili Mowgli dojrzał wspinającego się zwolna okularnika, potworniejszego od wszystkich, na jakich kiedykolwiek spoglądał. Miał on długości około ośmiu stóp, a od przebywania w zmroku zbiegał cały do barwy starej kości słoniowej. Nawet znak okularów na rozpostartym kapturze wypływał i nabrał bladożółtego koloru. Oczy czerwieńczyły mu się jak rubiny, całość zaś stanowiła widok wprost zdumiewający.

— Powodzenia w łowach! — zawołał Mowgli, który nie zapominał nigdy o uprzejmości, tak samo, jak nigdy ani na chwilę nie rozstawał się z nożem.

— Co słyhać w mieście? — zapytał Biały Okularnik, nie odpowiadając na powitanie. — Co słyhać w wielkim, oszańcowanym mieście, w gro-

dzie o setkach słoni, dwudziestu tysiącach ruma-ków i niezliczonych stadach bydła, w stolicy króla nad dwudziestu królami? Głuchnę tutaj z dawien dawna, nie słysząc dźwięku gongów¹⁾ wojennych.

— Nad głowami naszymi puszcza, — odpowiedział Mowgli. — Z pomiędzy słoni znam jedynie Hathiego i jego synów. Bagheera wydusiła wszystkie konie w jednej wiosce, a co do kró-lów — czy ja wiem, co to takiego?

— Mówiłem ci już — łagodnie wyrzekł Kaa do okularnika — mówiłem ci już cztery miesiące temu, że twego miasta niema wcale.

— Wielkie miasto wśród lasu, którego bram strzegą baszty królewskie, nigdy nie przeminie. Zbudowano je wprzód, nim ojciec mego ojca wylął się z jaja, a trwać będzie jeszcze, gdy synowie mych synów jako ja biali się staną. Salomdhi, syn Chandrabii, syna Viyei, syna Yegasuri założył je za czasów Bappy Rawala. Wy zaś czyją trzodą jesteście?

— Stracony trop — rzekł Mowgli do Kaa. — Nie rozumiem zgoła tej gadaniny.

— Ani ja. On jest ogromnie stary. Ojciec Okularników, niema tutaj nic prócz puszczy, jak nie było od początku.

— Co zacz jest ten rzece Biały Okularnik — co siedzi przede mną bez trwogi, nie znając imienia królewskiego, i ludzkimi usty w naszym przemawia języku? Kto to jest z tym nożem ludzkim, a językiem węża?

¹⁾ Rodzaj metalowego bębna.

— Mowglim mnie zowią — była odpowiedź. — Pochodzę z puszczy. Ludem moim są wilcy, Kaa, tu obecny, moim jest bratem. Kim-że ty jesteś, Ojcze Okularników?

— Strażnikiem jestem królewskiego skarbcu. Radża Kurrun zamurował nade mną sklepienie w czasie, gdy jeszcze skórę miałem ciemną, ażebym śmierci uczył tych, którzyby tutaj kraść przyszli. Potem spuszczo skarb przez otwór i usłyszałem śpiewy panów moich braminów.

— Uhum — mruknął Mowgli do siebie. — Miałem ja już do czynienia z braminem pośród ludzkiej gromady i wiem, co to znaczy. Wnet się to źle skończyć musi.

— Pięć razy w ciągu mojej straży odwalano kamień, zawsze jednak po to, by dokładać, nigdy, by stąd coś ująć. Nigdzie, przenigdzie takich bogactw niema, jak tu, w skarbcu stu królów. Lecz długi, straszliwie długi czas upłynął od ostatniego wyważenia głazu, więc tak mniemam, że miasto moje zapomniało...

— Niema tu miasta. Spójrzij w górę. Tam korzenie wielkich drzew rozsadzają głazy sklepienia. Ludzie i drzewa razem nie rosną — zaczął przekładać Kaa.

— Po dwakroć, czy też po trzykroć ludzie odkryli tutaj drogę — przerwał Biały Okularnik z wściekłością. — Nic nie mówili, dopókim nie dał się im uczuć, i wówczas krótko tyfko krzyknęli. Ale wy przybywacie tu z kłamstwem, wy, człowiek i wąż, i chcecie wmówić we mnie, że mojego miasta niema, i że straż moja ustała. Ludzie

zmieniają się widocznie z biegiem czasu, lecz ja się nie zmieniam. Dopóki kamień nie zostanie odwalony, dopóki bramini nie zejną do mnie ze znanym mi śpiewem, nie napoją mnie ciepłym mlekiem i nie wywiodą znów na światło, — dotąd ja, nie zaś kto inny, jestem strażnikiem królewskiego skarbcza. Miasto umarło, powiadacie? A tu są drzew korzenie? Schylajcie się zatem i bierzcie, co się wam spodoba. Na całym świecie podobnych skarbów niema. Człowiecze o języku węża, jeżeli żywy powrócisz tą samą drogą, którą tu przybyłeś, wszyscy królowie ziemi niewolnikami twymi zostaną!

— Znowu trop stracony — rzekł chłodno Mowgli. — Czyżby jaki szakal zarył się tak głęboko i ukąsił tego wielkiego Białego Kaptura? Wątpliwości niema, że zwarjował. Ojcze Okularniku, nie widzę tutaj nic, po coby się schylać było warto.

— Na bogi Słońca i Księżycy! szal śmierci opanował tego chłopca! — zasyczał okularnik. — Zanim oczy zamkniesz, chcę ci łaskę wyświadczyć. Patrz, a ujrzyj, czego żaden człowiek dotąd nie widział!

— Miałby się z pyszna, ktoby w puszczy łaskę chciał świadczyć Mowgliemu — mruknął chłopiec przez zęby, — ale w ciemności wszystko się zmienia, jak widzę. Dobrze więc, popatrzę, skoro ci to sprawiła przyjemność.

Przymrużonemi oczyma powiódł dokoła lochu, zaczęł wziął w garść z ziemi coś błyszczącego.

— Oho! — zawołał — w gromadzie ludzkiej bawiono się podobnemi drobnostkami, tylko że te są żółte, a tamte były szare.

Rzucił napowrót monety złote i postąpił naprzód. Dno lochu na jakie pięć do sześciu stóp usłane było pieniędzmi ze złota i srebra, które pierwiastkowo ułożone w worach, rozsypały się po ich zbutwieniu, a jak piasek osiada na brzegu przy odpływie morza, tak z biegiem lat osiadła i wyrównała się warstwa metalu. Na niej zaś, i pod nią, i w połowie w niej zagrzebane, jak szczątki rozbitego statku na mieliźnie, sterczały drogocenne wieżyczki na słonie z wypukło rzeźbionego srebra, nabijane blaszkami kutego złota i wysadzone karbunkułami¹⁾ i turkusami. Były tam również w srebro i emalję oprawne palankiny²⁾ i lektyki dla królowych, z jaspisowemi³⁾ rączkami drążków i bursztynowemi kółkami firanek; złote świeczniki, u których ramion drżały powydrążane szmaragdy; wykute ze srebra pięciołokciowe posągi zapomnianych bogów o oczach z klejnotów; pancerze ze stali, nabijane złotem, poobszywane sznurami ziarnistych pereł, które zwietrzały i wybladły od starości; hełmy, przyozdobione na czubach i otokach rubinami krwi gołębiej; lakowane tarcze ze skorup żółwich i skóry nosorożca, pokryte pasami i guzami czerwonego

1) Karbunkuł — wielki i bardzo piękny rubin.

2) Palankin — ozdobna lektyka, osłonięta dachem i firankami. 3) Jaspis — kamień nieprzezroczysty, różnobarwny.

złota, po brzegach zaś wysadzone szmaragdami; pęki mieczów, sztyletów i puginałów o rękojeściach brylantowych; złote czasze i naczynia ofiarne; ołtarze przenośne o nigdzie przy świetle dziennym nie widzianych kształtach; jaspisowe puhary i bransolety; kadzielnice, grzebienie, flakony do wonności, do henny ¹⁾, do pudru ocznego — wszystkie ze szczerego złota; kolczyków nosowych, naramienników, przepasek, djademów i pierścieni bez liku; szerokie na siedem palców pasy, usiane wyciętami w kostki djamentami i rubinami; wreszcie skrzynie z potrójnym żelaznym okuciem, których ścianki drewniane rozsypały się w próchno, odsłaniając wewnątrz całe stosy niewygładzonych szafirów gwiazdzistych i zwykłych, opali, kociego oka, rubinów, djamentów, szmaragdów i granatów.

Okularnik powiedział szczerą prawdę. Z całego świata pieniądze nie opłaciłyby wartości tych skarbów, stanowiących wybór łupów i długoletnich wojen, grabieży, handlu i podatków. Nie mówiąc już o cenie drogich kamieni, sama wartość monet, ważących ogółem ze dwieście lub trzysta ton ²⁾, musiała być nieoszacowana. Każdy, nawet najbiedniejszy władca w Indjach dzisiejszych posiada skarbiec, który ustawicznie pomnaża, i aczkolwiek trafia się kiedy niekiedy, że jakiś oświeconszy książę wyśle czterdzieści lub pięćdziesiąt zaprzężonych w bawoły wozów ze srebrem, by je wymienić na procentujące papiery państwowe,

¹⁾ Henna — farba do włosów i paznogi. ²⁾ Tonna — jednostka wagi = 1000 kilogramów.

ogół wszakże woli zarówno skarby swoje, jak i wiadomości o nich w ścisłej przechowywać tajemnicy.

Naturalnie Mowgli znaczenia tych wszystkich przedmiotów nie rozumiał. Tylko noże zajęły go na chwilę, gdy jednak żaden nie nadawał mu się tak do ręki, jak jego własny, odrzucił je wkrótce. Wszelako wkońcu na wierzchu jednej wieżyczki, w połowie zagrzebanej wśród monet, wpadł mu w oczy przedmiot, który go naprawdę zaciekawił. Był to dwustopowy ankus czyli bodziec na słonie, coś w rodzaju małego bosaka ¹⁾ okrętowego. Wierzchołek jego stanowił okrągły, błyszczący rubin; poniżej, gęsto nabijane nierzniętymi turkusami drzewce tworzyło nader wygodną rękojeść. Jeszcze niżej była obrączka jaspisowa, okolona girlandą kwieciana, lecz listki jej były szmaragdowe, a kwiaty z osadzonych w zielonym kamieniu rubinów. Pozostałą część rękojeści zajmował drążek z czystej kości słoniowej; ostrze zaś i haczyk były ze stali, na której złotem wyciśnięto rysunki, wyobrażające polowanie na słonia, i właśnie owe rysunki głównie zwróciły uwagę chłopca, który dopatrzył się na nich czegoś wspólnego z przyjacielem swoim Hathim ²⁾.

Biały Okularnik sunął tuż za nim.

— I cóż — ozwał się — czy nie warto umrzeć za zobaczenie tych skarbów? Czy nie okazałem ci wielkiej łaski?

¹⁾ Bosak — drag, zakończony rodzajem siekiery.

²⁾ Imię słonia.

— Nie rozumiem cię — odparł Mowgli. — Wszystko to twarde i zimne, zjeść tego nie sposób. Jednakże to jedno — tu wziął w dłonie ankus — chciałbym zabrać, żeby zobaczyć, jak to wygląda w słońcu. Mówisz, że to wszystko do ciebie należy. Więc daj mi to, a ja ci w zamian naznoszę żab do jedzenia.

Biały Okularnik zatrzęsł się z szatańskiej radości.

— Owszem, owszem, weź sobie; tu wszystko twoje... póki stąd nie wyjdiesz.

— Zaraz wychodzę. Ciemno tu i zimno w tej norze, ja zaś chcę zanieść do puszczy tę rzecz o ciernistem ostrzu.

— Spójrzj, co to tam wala się u nóg twoich?

Mowgli schylił się i namacał jakiś gładki a biały przedmiot.

— To kość z głowy człowieczej — rzekł spokojnie. — A tu jeszcze dwie inne.

— Byli to ludzie, którzy przed wielu laty przyszli tutaj po skarby. Lecz ja przemówiłem do nich w ciemności i legli, by już nie powstać.

— Co mnie obchodzą owe, jak ty nazywasz, skarby? Jeżeli mi dasz wynieść bodziec, będą to pomyślne łowy. Jeżeli nie — mniejsza o to. Z ludem Jadowitych nie walczę, przytem nauczono mnie także słów zaklęcia twego rodu.

— W tem miejscu moje tylko słowa mają moc zaklęcia.

Na to Kaa z zaognionemi oczyma rzucił się naprzód.

— Kto mnie prosił, bym przyprowadził człowieka? — zasyczał.

— Ja, oczywiście — odszeplenił zgrzybiały Okularnik. — Dawno już, dawno nie widziałem człowieka, ten zaś w dodatku mówi naszym językiem.

— Lecz o zabijaniu nie było mowy. Jakże chcesz, bym powrócił do puszczy i wyznał, że go na śmierć poprowadził? — rzekł Kaa.

— Nie mam zwyczaju mówić o zabijaniu przed czasem. Co zaś do ciebie, zostań sobie lub wychodź — luka w murze stoi otworem. Ale mi tu bądź cicho, gruby małpozboju! Niech się tylko dotknę twego karku, a puszcza znać cię dłużej nie będzie. Żaden człowiek nie wyszedł stąd jeszcze z tchem w piersiach. Jestem Strażnikiem Skarbu królewskiego miasta!

— Mówię ci przecie, biała glisto podziemna, że niema tu ani króla, ani miasta! Dokoła nas jest puszcza! — krzyczał Kaa.

— I skarb jest także. Zresztą, dobrze... Poczekaj, Kaa skalny, zobaczysz, jak chłopiec biega. Dość tu miejsca na wielkie gonitwy. Życie warte zachodu. Pobiegaj sobie trochę, poigraj ze mną, chłopaczku!

Mowgli najspokojniej w świetle położył rękę na głowie Kaa.

— Dotąd białe to stworzenie miało sprawę jedynie z ludźmi z gromady. Mnie ono nie zna — szepnął. — Samo się doprasza tego polowania; niechże się stanie, czego sobie życzy.

Mówiąc to, trzymał w dłoni ankus ostrzem

w dół. Nagle rzucił go błyskawicznym ruchem, a pocisk ugodził wielkiego węża tuż poza kapturem i przesywszy go nawskroś, przybił do ziemi. W oka mgnieniu Kaa olbrzymim swym ciężarem przywalił miotające się cielsko, uniemożliwiając mu ruchy od kaptura do ogona. Tylko czerwone oczy gadu płonęły i nieprzygnieciony łeb z sześcioma calami szyi walił wściekle na prawo i na lewo.

— Zabij! — rzekł Kaa, widząc, że Mowgli po nóż sięga.

— Nie — odpowiedział Mowgli, obnażając ostrze. — Postanowiłem zabijać tylko dla wyżywienia się. Lecz spojrzysz-no, Kaa!

Chwyciwszy węża poza kapturem, otworzył mu gwałtem paszczę ostrzem swego noża i odsłonił górną szczękę, a w niej straszliwe kły jadowite, które były czarne i wykruszone. Jak to się gadom przytrafia, Biały Okularnik przeżył swój jad.

— *Thuu* (wysechł całkiem)¹⁾ — rzekł Mowgli, a dając Kaa znak do odejścia, wyciągnął ankus i zwrócił wolność Białemu Okularnikowi.

— Skarbcowi królewskiemu trzeba nowego strażnika — ozwał się poważnie. — Żle się sprawiłeś, *Thuu!* Pobiegaj sobie trochę i poigraj, *Thuu!*

— Jestem zhańbiony. Zabij mnie! — zasyczał Biały Okularnik.

— Dość już było gawędy o zabijaniu. Odchodźmy. Zabieram przedmiot o ciernistem ostrzu,

¹⁾ Dosłownie: pień zbutwiały. *Przyp. aut.*

Thuu, jako nagrodę walki, w której cię pokonałem.

— Strzeż się zatem, aby on nie zabił ciebie. To jest śmierć! Zapamiętaj sobie, że to śmierć! Ta jedna rzecz potrafiłaby wymordować całą ludność mojego miasta. Niedługo będziesz ją nosił, człowiecze puszczy, ani też ci, którzy ją tobie wydrą. Będą się przez nią zabijali i zabijali i zabijali bez końca. Moc moja wyczerpana, lecz ankus za mnie działać będzie. To śmierć, to śmierć, to śmierć!

Wczołgując się z powrotem w ciasne przejście, Mowgli ujrzał raz jeszcze Białego Okularnika, jak bezbronnemi kłami ranił zajadle obojętne twarze leżących na ziemi bożków i syczał:

— To śmierć!

Z wielkiem zadowoleniem wydostali się znowu na światło dzienne, a kiedy przybyli już do własnej puszczy, i Mowgli obejrzał swój ankus w promieniach porannego słońca, uczuł się tak szczęśliwym, jak gdyby znalazł pęk nieznanych kwiatów do przyozdobienia swej czupryny.

— Jeszcze ładniej błyszczy, niż oczy Bagheery¹⁾ — mówił zachwycony, rozkoszując się migotaniem rubinów. — Muszę jej to pokazać. Ale co ten Thuu miał na myśli, gdy mówił o śmierci?

— Bo ja wiem? Do koniuszka ogona jestem rozgniewany, żeś mu nie dał uczuć swego noża. W tych Zimnych Grotach zawsze licho siedzi, jak nie na wierzchu, to pod ziemią. Teraz jeść mi się

¹⁾ Imię pantery.

chce. Zapolujesz razem ze mną, braciszku? — mówił Kaa!

— Nie, trzeba to pokazać Bagheerze. Powodzenia!

Mowgli pobiegł w podskokach, wymachując wielkim ankusem i zatrzymując się od czasu do czasu, żeby go na nowo obejrzeć, i tak doszedł do tej części puszczy, w której zwykle przebywała Bagheera; wkrótce też ją odnalazł, gdy gasiła pragnienie po jakichś obfitszych łowach. Opowiedział jej całą przygodę od początku do końca, a Bagheera, słuchając, obwąchiwała ankus. Gdy wreszcie doszedł do ostatnich słów Białego Okularnika, Bagheera zamruczała z uznaniem.

— Miałeby Białe Kaptur prawdę powiedzieć? — spiesznie zapytał Mowgli.

— Urodziłam się w zwierzyńcu królewskim w Oodeypore, to też pochlebiam sobie, że znam nieco ludzi. Wielu z nich zgodziłoby się popełnić na noc trzy zabójstwa dla tego jednego czerwonego kamyka.

— Dla kamyka, który swym ciężarem nie pozwala wygodnie tego trzymać w dłoni! O ile lepszy jest mój mały nóż błyszczący! Zresztą, patrz, kamyka tego jeść nie można, pocóż więc mieliby zabijać?

— Mowgli, kładź się i śpij. Żyłeś pomiędzy ludźmi, a jednak...

— Aha! Przypominam sobie! Ludzie zabijają dlatego, że nie polują: z próżniactwa i dla przyjemności. Obudź-no się, Bagheero! Na co oni zrobili ten przedmiot o cierniowem ostrzu?

Rozespana Bagheera nawpół otworzyła oczy i mrużąc je z wyrazem przebiegłości, odrzekła:

— Na to, żeby nim kłuć w głowę synów Hathiego i krew z nich wytaczać. Przyglądałam się nieraz temu z klatki na ulicach Oodeypore. Ten przedmiot kosztował już krwi niejednego z współbraci Hathiego.

— Pocóż znowu kłują oni po głowach słonie?

— W ten sposób uczą je ludzkiego prawa. W braku kłów i pazurów ludzie wyrabiają sobie takie, albo gorsze jeszcze rzeczy.

— Krew i krew, nawet gdy zbliżam się do rzeczy, które ludzie zrobili! — zawołał z odrazą Mowgli, któremu ankus nagle ciążyć począł. — Gdybym był wiedział o tem, nawetbym go się nje dotknął. To krew Messuy na powrozach, to znowu teraz krew Hathiego. Nie chcę tego trzymać dłużej. Patrz!

Ankus, migocąc, wyleciał w górę i o jakie pięćdziesiąt łokci utkwiał ostrym końcem w ziemi pomiędzy drzewami.

— Tym sposobem zmywam śmierć z rąk moich — rzekł Mowgli, ocierając dłonie o świeżą, wilgotną ziemię. — A Thuu zapowiadał, że śmierć moim śladem podąży. Stary biały głupiec.

— Biały, czy czarny, śmierć czy życie, mniejsza o to, ja idę spać, braciszku. Nie potrafię po całonocnych łowach wyć przez dzień cały, jak to niektórzy czynią.

Tu Bagheera oddaliła się o dwie mile do znanej sobie kryjówki, a Mowgli wdrapał się na odpo-

wiednie drzewo, pozwiązywał za końce parę pnączy i prędeży, niż to się da opowiedzieć, bujał już zawieszony w hamaku na wysokości piętnastu stóp nad ziemią. Jakkolwiek właściwie nie miał uprzedzenia do dziennego światła, jednakże naśladowując zwyczaje swych przyjaciół, starał się i Mowgli jak najmniej z niego korzystać.

Gdy się obudził pośród gwaru hałaśliwej ludności drzew, na świecie znowu zmierzch zapadał. Przypomniawszy sobie, że we śnie marzył o porzuconych ślicznych kamyczkach.

— Muszę przynajmniej raz jeszcze popatrzeć na nie — rzekł, spuszczając się po pnączu na ziemię, gdy wtem usłyszał w zmroku węszenie Bagheery.

— Gdzie się podział przedmiot o ciernistym końcu? — zawołał.

— Jakiś człowiek go zabrał. Oto jego ślady.

— Kiedy tak, to zobaczymy, czy Thuu powiedział prawdę. Skoro ten przedmiot kolczasty jest śmiercią, człowiek ten umrzeć powinien. Idźmy za nim.

— Pierwej upoluj co — odparła Bagheera. — O pustym brzuchu oczy patrzą niedbale. Ludzie powoli się wloką, a puszcza dość jest wilgotna, by najłżejszy ślad zachować.

Postarali się tedy o ile możliwości najprędzej ubić zwierzyne, bądź co bądź jednak około trzech godzin upłynęło, zanim skończywszy śniadanie i ugasiwszy pragnienie, mogli wreszcie wstąpić na trop. Naród puszczy wie o tem, iż nie zdoła po-

wetować szkody, jaką sprawia z pośpiechem spożyty posiłek.

— Jak sądzisz, czy śpiczasta rzecz odwróci się w rękę człowieka i zabije go? — pytał Mowgli. — Boć to ma być śmierć, według słów Thuu.

— Zobaczymy, jak ją odnajdziemy — odpowiedziała Bagheera, biegnąc ze łbem tuż przy ziemi. — To pojedyncza stopa (miało to znaczyć, że szedł jeden człowiek) i od ciężaru tej rzeczy pięta głęboko odciska się w ziemi.

— Ha! to jasne, jak dzień upalny — odpowiedział Mowgli i dziarskim, żwawym krokiem myśliwskim poczęli gonić przez smugi księżycowego światła śladem pary nóg bosych.

— Stąd zaczyna biedz spiesznie — rzekł Mowgli. — Palce są porozczepiane.

Pędzili dalej po rozmokłym nieco gruncie.

— A tu znowu niewiadomo po co odwrócił się nagle.

— Zaczekajno-no — rzekła Bagheera i wspaniałym susem wysadziła się jak tylko mogła najdalej naprzód. Jest to najpierwsza rzecz, jaką należy czynić zawsze, ilekroć ślady przestaną być wyraźne, a to w tym celu, ażeby ich jeszcze bardziej nie zatrzeć odbiciem własnych stóp. Stając się na ziemi, Bagheera odwróciła się ku Mowgliemu, krzycząc:

— Znalazły się inne ślady, idące na spotkanie. Stopa drobniejsza i palce do środka podkurczone.

Mowgli dobiegł i przyjrawszy się, rzekł:

— To stopa myśliwca Gonda. Patrz, tutaj lukiem zawadził o trawę. Dlatego to pierwszy ślad tak niespodziewanie zawrócił. Wielka Stopa chciała umknąć przed Drobnią Stopą.

— Prawda — rzekła Bagheera. — Otóż by naszymi nogami nie poplątać wszystkich śladów, idźmy każdy po swoim tropie. Ja będę Wielką Stopą, braciszku, ty zaś Gondem, czyli Drobnią Stopą.

Jednym skokiem powróciła Bagheera na trop pierwotny, a Mowgli został pochylony nad ciekawym śladem małego leśnego człowieka, z powykręcانemi do środka palcami.

— Teraz, — mówiła Bagheera, posuwając się krok za krokiem po szlaku odcisniętych stóp, — ja, Wielka Stopa, skręcam w bok. Potem kryję się za skałę i stoję cichutko, nie śmiejąc z nogi na nogę przestąpić. Okrzyknij swój ślad, braciszku!

— Ja, Drobna Stopa, podchodzę do skały — zawołał Mowgli, wbiegając na trop. — Teraz siadam pod skałą, opierając się na prawej ręce, z łukiem wetkniętym pomiędzy palce u nóg. Czekać długo, ponieważ ślady są głębokie.

— I moje również — ozwała się Bagheera z poza skały. — Czekam, oparłszy rękę z cieniastym końcem o kamień. Ześliznęła się ona, bo na kamieniu jest szrama. Okrzyknij swój ślad, braciszku!

— Jeden, dwa małe pręty i gruba gałąź są tu złamane — rzekł półgłosem Mowgli. — Co to ma znaczyć? Aha? Ale, to jasne! Ja, Drobna

Stopa, odchodzę z hałasem, tupiąc po chróście, żeby mnie usłyszała Wielka Stopa.

Poczem krok za krokiem odstępował Mowgli od skały między drzewa, wznosząc stopniowo głos w miarę zbliżania się do małego wodospadu:

— Odchodzę... daleko... w dół... gdzie... szum... spadającej... wody... zagłusza... hałas... mych... kroków... i... tutaj... zaczajam się. Okrzyknij swój ślad, Bagheero, Wielka Stopo!

Zbadawszy las we wszystkich kierunkach, ażeby wykryć, w którą stronę ślady Wielkiej Stopy skierowały się z poza skały, Bagheera krzyknęła wreszcie:

— Odchodzę z pod skały na kolanach, ciągnąc za sobą rzecz o ciernistym końcu. Nie widząc nikogo, zaczynam biedz. Ja, Wielka Stopa, biegnę szybko. Ślad wyraźny. Podążmy każdy swoim tropem. Ja pędzę.

Bagheera mknęła po odbitych śladach, Mowgli biegł tropem Gonda. Przez pewną chwilę w puszczy panowało milczenie.

— Gdzie jesteś, Drobną Stopo? — zawołała wreszcie Bagheera.

Głos Mowgliego rozległ się na prawo w odległości jakich pięćdziesięciu łokci.

— Uhum — rzekła pantera, kaslnąwszy głucho. — Biegną obok siebie, zbliżając się ciągle.

Po przebieżeniu jeszcze pół mili wciąż w tej samej mniej więcej od Bagheery odległości, Mowgli, którego głowa wznosiła się wyżej nad ziemią, niż łeb pantery, zawołał nagle:

— Spotkali się! Powodzenia! Patrz, tutaj stała Drobna Stopa z kolaniem o skałę wspartem, a tam jest Wielka Stopa.

Nie dalej niż dziesięć łokci przed nimi, rozciągnięty na pokruszonych głazach, leżał trup wieśniaka z tych, okolic z piersią przeszytą na wylot marną, niewielką, pierzastą strzałą Gonda.

— I cóż, braciszku, jestże Thuu takim starym głupcem? — łagodnie rzekła Bagheera. — W każdym razie mamy już jednego trupa.

— Chodźmy dalej. Cóż się jednakże stało z tą rzeczą, co pije krew słoni, z owym cierniem o czerwonym oku?

— Prawdopodobnie ma ją Drobna Stopa. Obecnie znowu trop jest pojedynczy.

Jedynie ślady zwinnego człowieka, biegnącego szybko z ciężarem na lewym ramieniu, ciągnęły się daleko po niskiej trawie, w której każde dotknięcie stopy przed przenikliwym wzrokiem tropicieli występowało, jak gdyby wypalone gorącym żelazem.

Nie rozmawiali już więcej, dopóki ślady nie urwały się u popiołów ogniska w głębi jaru.

— Znowu! — rzekła Bagheera, stając jak wryta.

Skurczone zwłoki małego Gonda leżały nogami w popiołach. Bagheera pytająco spojrzała na Mowglięgo.

— To uczyniono bambusem — rzekł chłopiec po jednym rzucie oka. — Używałem tego na bawoły, kiedy służyłem w gromadzie ludzkiej. Żałuję, że sobie żartowałem z Ojca Okularni-

ków; widzę teraz, że zna się na ludzkim rodzaju tak, jak i ja znaćbym się powinien. Sam przecie mówiłem, że ludzie mordują się z próżniactwa.

— W gruncie rzeczy to morderstwo spełniono dla czerwonych i niebieskich kamyków — odpowiedziała Bagheera. — Nie zapominaj, że i ja byłam w zwierzynku królewskim w Oodeypore.

— Raz, dwa, trzy, cztery ślady — mówił Mowgli, nachylając się nad popiołem. — Cztery ślady ludzi obutych. Ci nie chodzą tak szybko jak Gondowie. Co jednak mógł im zawinić mały leśny człowiek? Patrz, rozmawiali z sobą w pięciu, stojący, zanim go zabili. Wracajmy, Bagheero. Ciężko mi na sercu, aczkolwiek skacze ono we mnie, jak gniazdo wilgi na końcu gałęzi.

— Cóż to za polowanie opuszczać zwierzynę na tropie — odparła Bagheera. — Idźmy dalej. Te osiem obutych nóg nie mogły iść daleko.

I znowu przez godzinę z górą nie przemówili do siebie słowa, idąc szerokim śladem czterech ludzi w obuwiu.

Dzień był już jasny i gorący, gdy Bagheera ozwała się nakoniec:

— Czuję dym.

— Ludzie zawsze chętniej jedzą, niż biegną — odrzekł Mowgli, myszkując we wszystkich kierunkach po niskich zaroślach młodej dżungli¹⁾. Bagheera, która czyniła to samo nieco wlewo

1) Dżungla — puszcza indyjska.

od niego, wydała nagle niezwykły gardłowy okrzyk.

— Ten nigdy już jeść nie będzie — rzekła.

Pod krzakiem leżał zwinięty kłęb w jaskrawej odzieży, dokoła zaś była rozsypana mąka.

— I to również uczyniono bambusem — powiedział Mowgli. — Patrz, ten biały proszek służy ludziom za pożywienie. Towarzysze odebrali strawę temu, który ją dźwigał na sobie, a jego samego zostawili na pastwę sępa Chila.

— To już trzeci — rzekła Bagheera.

— Muszę zanieść dużo świeżych żab Ojcu Okularników, żeby go utuczyć — przemówił do siebie Mowgli. — Ta pijawka na słonie w istocie jest śmiercią samą, jednakże dotąd nic jeszcze nie rozumiem.

— Idźmy dalej — rzekła Bagheera.

Nie uszli nawet pół mili, gdy usłyszeli kruka Koo, śpiewającego hymn śmierci na wierzchołku wrześni, pod której cieniem leżało trzech martwych ludzi. W środku koła tliło się przygasające ognisko pod żelazną blachą, na której znajdowały się czarne spalone placuszki z praśnego ciasta. Tuż przy ogniu leżał, błyszczący w promieniach słońca rubinami i turkusami, ankus.

— Ta rzecz nie traci czasu. Ot i koniec wszystkiego — ozwała się Bagheera. — Od czego ci pomarli, Mowgli? Na żadnym nie widać znaków ani ran.

Mieszkaniec puszczy z doświadczenia zna się niegorzej od lekarza na jadowitych roślinach i jagodach. Mowgli zaciągnął się dymem z ogniska;

ułamął kawałek zwęglonego podpłomyka, skosztował i wypluł.

— Śmiertelne jabłko — rzekł, odskakując. — Snadź ów pierwszy podsypał go do strawy, przeznaczonej dla tych, którzy go zabili, pierwiej za-
biwszy Gonda.

— Dobre łowy, zaiste! Śmierć za śmiercią! — zauważyła Bagheera.

Śmiertelnem jabłkiem nazywają w puszczy kolczasty owoc bielunia, najgwałtowniejszej trucizny w Indjach.

— A teraz co? — rzekła pantera. — Chyba ty i ja podusimy się wzajemnie o tego czerwono-
okiego zbója?

— Czyżby on mówić potrafił? — szepnął Mowgli. — Może go obraziłem tem, że m go odrzucił? Pomiędzy nami chyba nie może uczynić nic złego, albowiem my nie mamy takich pragnień, jak ludzie. Lecz jeśli tutaj zostanie, z pewnością będzie dalej zabijał ludzi jednego po drugim tak szybko, jak wicher strząsa orzechy z drzew. Nie czuję dla ludzi życzliwości, a jednak nie chcę, żeby umierali po sześciu jednej nocy.

— Wielkie rzeczy! Przecie to tylko ludzie pozabijali się wzajemnie, bo im to sprawiało przyjemność — rzekła Bagheera. — Ów mały leśny człowiek miał nawet doskonałe polowanie.

— To nie przeszkadza, że oni są wszyscy dziećmi i jak dzieci gotowi się potopić, chcąc ugryźć odbicie księżyca w wodzie. Wszystkiemu sam jestem winien — mówił Mowgli, tonem czło-

wieka, który do głębi zbadał istotę rzeczy. — Nigdy już odtąd wnosić nie będę nic obcego do puszczy, choćby to nawet były rzeczy piękne jak kwiaty. To zaś — tu podjął ankus z zachowaniem wszelkich ostrożności — niechaj powraca do Ojca Okularników. Przedtem jednak przespać się musimy, a wszak niepodobna spać przy tych uśpionych ludziach. Więc na razie trzeba to zakopać, ażeby się nie wymknęło i znowu jakich sześciu nie zabiło. Wygrzeb mi jamę pod tem drzewem.

— Ależ braciszku, — rzekła Bagheera, skierowując się na wskazane miejsce — wierz mi, że ten wypijacz krwi nic nie winien. Wszystkiego narobili sami ludzie.

— Wszystko mi jedno — odparł Mowgli. — Wykop dół głęboki. Gdy się obudzimy, zabiorę go i odniosę z powrotem.

.....

W dwie noce potem, gdy Biały Okularnik, znieślawiony, obrabowany i samotny pogrążał się w ponurych myślach w głębi mrocznego lochu, ankus turkusowy wleciał, świszcząc, przez szczelinę muru i z brzękiem padł na posłanie ze złotych monet.

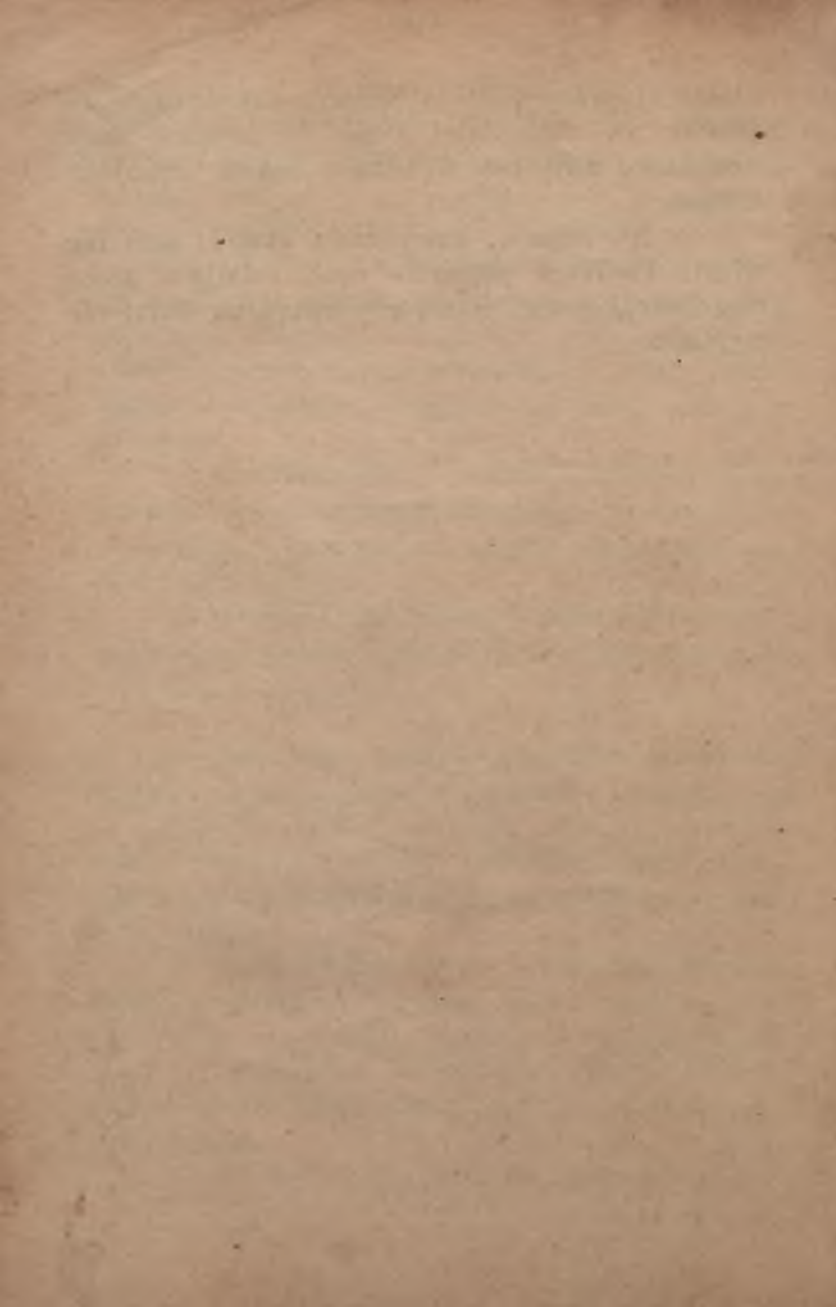
— Ojcie Okularników! — zawołał Mowgli, stojąc przezornie z drugiej strony muru — wybierz sobie z pomiędzy twego ludu młodego i pełnego sił pomocnika do strzeżenia skarbu królewskiego, ażeby odtąd nikt z ludzi nie mógł się wy dostać żywy.

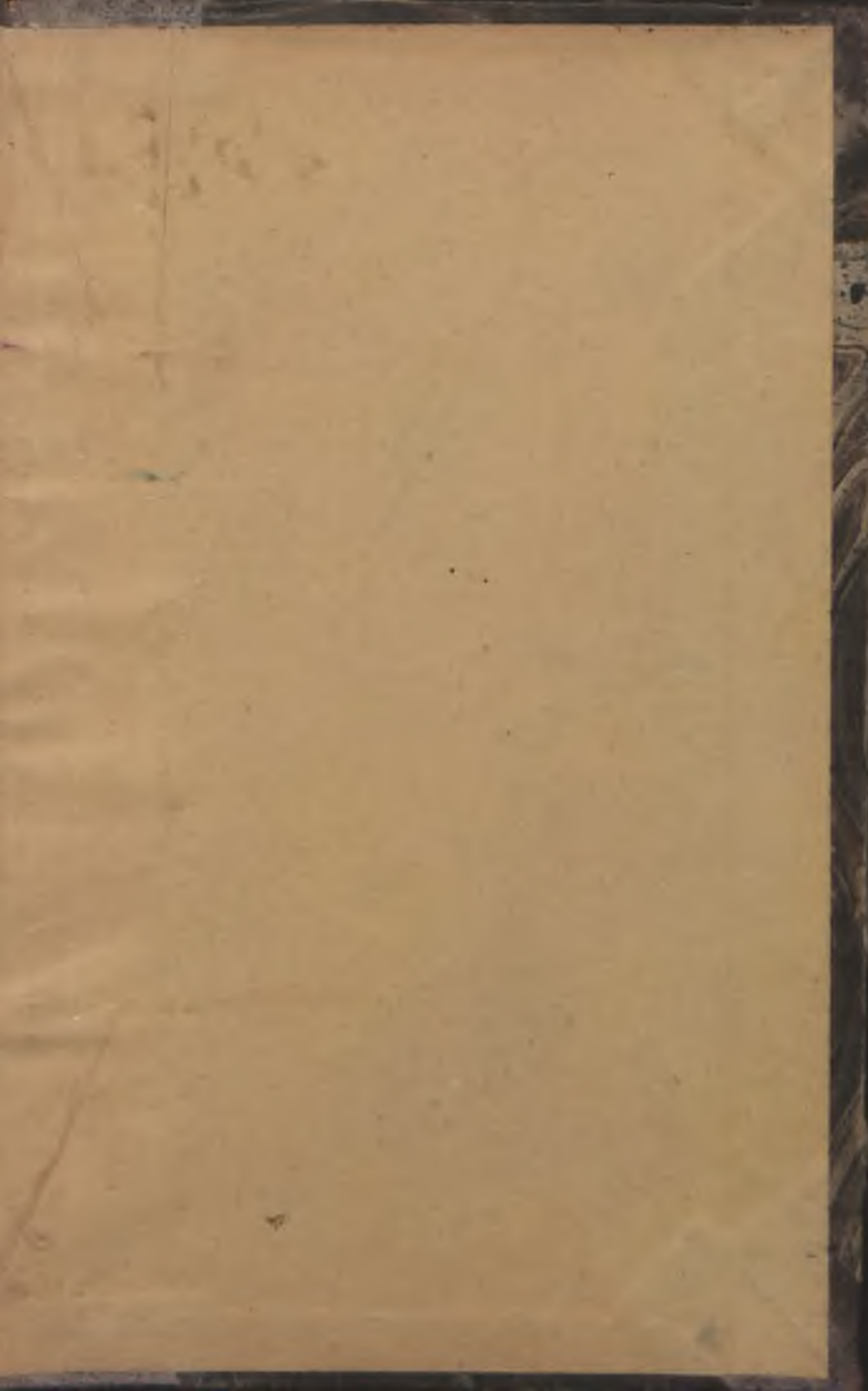
— Ah! Ah! mam go zatem napowrót. Mó-

wiłem ci przecie, że to śmierć. Co się stato, że jeszcze nie postradałeś życia? — mruczał stary okularnik, owijając się czule dokoła rękojeści ankusa.

— Na buhaja, który mnie okupił, sam nie wiem. Ta rzecz popełniła sześć zabójstw przez ciąg jednej nocy. Bacz, aby odtąd na świat nie wyrzała.

Z. B. P.
Oddział Lwowski
Chorągiew Męska
P. 1002. HARSZESKA im. B. TRACOTTA
w Lwowie





PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



173796

UWAGA
KŁOCEK INTROLIGATORSKI

MUZEUM